

Zenon Uryga
Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie

Dwie pierwsze moje lektury – gawęda o czytaniu

Sięgam pamięcią do początku wojennych lat czterdziestych, aby opisać okoliczności swych pierwszych spotkań z literaturą. Spróbuję – z ponad siedemdziesięcioletniego dystansu – odtworzyć to, co silnie zapisało się wtedy w dziecięcej wyobraźni i przetrwało do dzisiaj. Relację postaram się sprowadzić do faktów, uwolnić od zmyśleń i ubarwień, ale nie zdołam jej oddzielić od refleksji nad fenomenem rodzenia się potrzeby i radości czytania. Niewiele takie osobiste świadectwo może wnieść do prac nad poznawaniem procesów czytelniczej inicjacji. Dla osiemdziesięciolatka, ma jednak walor sięgnięcia do źródła.

*

Książka literacka trafiła w moim przypadku na pole niezagospodarowanej wyobraźni. Nie czytano mi w dzieciństwie ani nie dawano do oglądania książeczek dla maluchów – matka odumarła mnie wcześniej, ojciec nie miał na to czasu, a dobrym ciotkom – opiekunkom brakowało wykształcenia. Nie było zresztą przed wojną takiego jak dziś rynku wydawnictw dla dzieci, ani takiej obfitości barwnych, plastycznie wysmakowanych opowieści, obliczonych na budowanie świata dziecięcej wyobraźni. Daleko też było jeszcze, co oczywiste, do pojawienia się telewizji z jej kreatywną animacją i rozbuchaną fantastyką w projektowaniu alternatywnego świata oraz zaborczym oddziaływaniem na psychikę młodziutkiego odbiorcy ekranowych obrazów. Byłem bez wątpienia uboższy od obecnych dzieci o doznania estetyczne i znajomość świata baśniowo-fantastycznej fikcji, ale z pewnością mniej zagrożony przesytem obrazów i przedwczesnym znudzeniem powtarzalnością baśniowych motywów, a więc bardziej skłonny do świeżej reakcji na lekturę.

Momentów otwarcia wyobraźni na alternatywny świat fikcji pamiętam z pierwszych lat życia kilka za ledwie. Lubilem na przykład oglądać w gazecie kolejne odcinki humorystycznej serii przygód zabawnej pary: tyczkowatego Pata i niziutkiego grubaska Patachona. Nie potrafię powiedzieć, czy i kiedy zetknąłem się ze światem popularnych baśni braci Grimm, zapamiętałem jednak wyraźnie, że jako cztero-, pięciolatek oglądałem na rok przed wojną w rzeszowskim kinie kolorowy film Disneya o Królowie Śnieżce, z maszerującymi ze śpiewem krasna-

lami, ale też z zatrutym jabłkiem w rękach okropnej czarownicy. Do dziś widzę te, i tylko te dwa, obrazy.

Baśniowy świat otworzył się przede mną naprawdę dopiero – choć to zabrzmiało paradoksalnie – w czasie wojny. Stało się to za sprawą książki Witolda Zechentera *Bajdy krasnoludkowe*¹, którą dostałem w prezencie tuż po jej wydaniu i w którą zanurzyłem się bez reszty, gdy tylko nauczyłem się czytać, więc pod koniec pierwszej klasy, wiosną 1942 roku. Mieszkaliśmy wtedy pod Krakowem w obszarze dużego, gęsto zalesionego parku dworskiego, dla mnie pełnego tajemnic. Naprawdę to ja jednak mieszkalem przeważnie na wybranym „moim” drzewie: było duże, dobrze rozgałęzione, tworzyło u zbiegu konarów wygodne gniazdo. W tej oswojonej przestrzeni doświadczałem właśnie dzięki lekturze przyjemności wchodzenia w jakiś osobisty świat – odrębny, choć zarazem blisko związany z codziennością.

Kiedy próbuję z odległej perspektywy dociec, czym ta książka mnie oczarowała (*notabene* do tego stopnia, że koniecznie chciałem ją pożyczyć pewnej blondynce z drugiej klasy, by zyskać jej względy), to dostrzegam, że w istocie niewiele z jej treści pozostało w pamięci: zniknęła prawie zupełnie fabuła, zatarły się lub całkiem odkształciły szczegóły. Przetrwało za to ogólne wrażenie opowieści harmonijnej i budującej pozytywny pejzaż – obraz społeczności krasnoludkowej, gromady zorganizowanej, pracowitej, dzielącej się różnymi obowiązkami w leśnym środowisku. Pamiętam, że mieszkali, jak ja wówczas, na drzewach i wspinali się do swoich dziupli chyba po drabinach. Portret jednego z nich szczególnie mi się utrwalił: nazywał się Zapankwiątek, miał dużą brodę i podśpiewywał sobie z humorem: „Jedni lubią ciepło, drudzy lubią chłód, mnie to obojętne, bo ja lubię miód”.

Konkretnych wydarzeń z życia krasnoludkowej gromady nie zachowałem w pamięci poza epizodem z końcowej części opowieści, kiedy to odbyła się jakaś ważna wyprawa do miasta małym autkiem, napędzanym przewodami przykładanymi do serca. Ten dziwny wehikuł zapewne spowodował zapamiętanie owej podróży krasnala Modraczka, bo jej celu nie jestem w stanie sobie uprzytomnić.

Możliwość zweryfikowania wartości wszystkich tych śladów pamięciowych dziecięcego odbioru książki, która gdzieś się podczas licznych przeprowadzek zapodziała, otworzyła się przede mną niespodzianie dzięki poznaniu córki pisarza i udostępnieniu mi jej domowego archiwum². Ponowna lektura *Bajd krasnoludkowych* dostarczyła mi – poza szczególną przyjemnością i wzruszeniem – zarówno potwierdzenia trafności zachowanego z pierwszego czytania obrazu leśnej gromady, jak i zdziwienia wielością odbiorczych pominięć i przeinaczeń.

Z charakteru pominięć można by wnosić, że siedmiolatek nie zwrócił zapewne uwagi na autorską dedykację książki: „mojej córeczce Elżuni”, ale też nie

¹ Ukazała się w Krakowie, nakładem księgarni S.A. Krzyżanowskiego, w 1942 r. Zob. E. Zechenter-Splawińska, *Cokolwiek Ojciec uczyni...*, „Guliwer. Dwumiesięcznik o Książce dla Dziecka” 1998, nr 2, s. 56–58.

² Pani Elżbiecie Zechenter-Splawińskiej serdecznie za wypożyczenie książki Ojca dziękuję.

odnotował w pamięci nurtu rozmów ojca z dziewczynką w kąciku na tapczanie, wprowadzających w kolejne, kompozycyjnie wyodrębnione części bajdy o życiu krasnoludkowej społeczności kolejno: wiosną, latem i jesienią. Nie zarejestrował też faktu, że opowieść przeplata często narrację prozaiczną i wierszowaną. Zapamiętał kolorową okładkę książki, ale nie potrafił chyba wyodrębnić jako osobnego, zasługującego na uwagę i pamięć cyklu barwnych rycin Józefa Zięby, intensywnie wzbogacających obraz leśnego życia. Mówiąc ogólnie – przy zachłannym odbiorze treści owego obrazu umknęła uwadze chłopca, mojej uwadze formalna struktura książki.

Zatarło się również w pamięci całe rusztowanie fabularne bajdy krasnoludkowej. Wiosną – zrodzony w toku rozmaitych prac wspomagających obudzoną po zimie przyrodę pomysł napisania listu z zaproszeniem Wiosny na majowy bal, ożywione przygotowania do uroczystości oraz niezwykle, serdeczne i wesołe spotkanie. Latem – najpierw zabawna przygoda Brodaczka, któremu przy opatrywaniu zranionego świerka przykleiła się do żywicy wspaniała broda, co skończyło się jej obcinaniem; potem nocna burza z uderzeniem pioruna w stary dąb, odsłaniającym ukryty w spróchniałym pniu wspaniały złoty skarb, a dalej przypomnienie starego proroctwa o przeznaczeniu skarbu do leczenia smutków i ocierania łez. Z kolei jesienią – opowiadanie motyla Modraczka (więc to nie krasnal!) o locie nad dalekim miastem i odkryciu ludzkiej biedy; w następstwie zorganizowanie wyprawy Serduszka i Wierszyka (tylko pojazd napędzany sercem zapamiętałem!) do miasta z darami dla ludzi; na koniec oczekiwanie na podróżników przy jesiennym ognisku oraz ich powrót tuż przed nadejściem zimy.

Nie ten jednak fabularny wątek opowieści, ale ogólny obraz prac i dni krasnoludkowej społeczności zapisał się najmocniej w odbiorze siedmiolatka. Pozostał wszakże w pamięci właśnie tylko w postaci ogólnej, syntetycznie uformowanej i pozbawionej sytuacyjnych konkretów, pogodnej panoramy. Przetrwało wrażenie baśniowego spotkania z gromadą maleńkich ludzików, żyjących i na różne sposoby pracowicie gospodarujących w swoim lesie. Przetrwało też odczucie radosnej, zabarwionej humorem atmosfery opowieści, mimo że zatarła się cała różnorodność sylwetek i scen z życia krasnali.

Toteż powrót do książki Zechentera po latach (w wieku, jak mówił Staff, „dość pełnoletnim”) przywrócił mi coś z dziecinnej radości odkrywania całej wyrazistej galerii krasnoludkowych postaci o nazwiskach stosownych do zachowań, pełnionych ról, wyglądu itp. Są w gromadzie Humorek, Śpioszek i Pijaczek, poeta Wierszyk, stary, poważny Brodaczek, leśni i łąkowi pracownicy: Zapankwiątek, Listoć, Kolorek, Pędzelek, Ptaśniczek i wielu innych. Mogłem, przyglądając się tym postaciom, skorygować przekłamania pamięci, np. to, że nie Zapankwiątek, ale Pijaczek śpiewał piosenkę o swoim upodobaniu do miodu, że Modraczek to motyl a nie krasnal i to nie on kierował autkiem. Mogłem obserwować różne zachowania krasnoludków wobec siebie: ich spory, dialogi, zachwyty, narady, pomysły i zabawy, a także przyglądać się ich kontaktom z innymi mieszkańcami

lasu: żabkami, zajączkami, owadami. Wchodziłem na powrót z ogromną przyjemnością w ich bogate, choć utajone przed ludzkim wzrokiem życie.

Tym, co przy tej ponownej lekturze najsilniej mnie do bajdy Zechentera zbliżyło, okazała się jej narracja – ciepła i nasycona ludzką prawdą przeżyć miniaturowych bohaterów, wplecioną w rytm przemijających pór roku. Oto – dla przykładu – dłuższy fragment tekstu zakończenia opowieści:

Ognisko dopalało się, gasło. Było ciemno. „Przyjaciele! – rzekł Brodaczek. – Czas iść na sen zimowy... Żegnajcie, drodzy, do nowej wiosny!”

Wszystkie ręce splotły się w mocnym uścisku. Gromadkami opuszczali polanę. Małymi grupkami rozchodzili się – każdy do swego drzewa, do swej dziupli. Ostatni, który wchodził, wciągał drabinkę na górę, zamykał drewniane drzwi, zaklejał szpary przygotowanym zawczasu mchem. Żegnali się raz jeszcze i każdy szedł do swego pokoiku. Gdy krasnoludki spoczywały już pod ciepłymi kołderkami, w lesie rozhuczał się wichur, przygnał czarne chmury i nagle sychnął śnieg. Na rano las cały był biały. I cichy. A krasnoludki spały, kochanie. Spały mocno, śniąc o nowej wiosnie, o nowych pracach, radościach i troskach, o nowych trudach i przygodach, o wszystkim, z czego składa się życie³.

Trudno się dzisiaj oprzeć pytaniu, jak to było możliwe, że ta pogodna, harmonijna opowieść wyszła spod pióra krakowskiego twórcy w trzecim roku okupacji, a przy tym uzyskała staraniem ówczesnego wydawcy tak urodziwy kształt edytorski. Jeśli sięgnąć po klucz, jakim było dedykowanie książki córeczce, to chyba bliska prawdy odpowiedź może się mieścić w łączącej autora, ilustratora i księgarza intencji chronienia dziecięcego świata przed okrucieństwem czasu. Byłem tych dążeń beneficjentem.

*

Daleko inne doświadczenie lekturowe czekało mnie w półtora roku później, jesienią 1943. Uczyłem się wtedy w niewielkiej szkółce, położonej przy ruchliwej szosie z Krakowa do Zakopanego, którą co jakiś czas przetaczały się kolumny niemieckich pojazdów wojskowych. Mijały mnie, gdy wracałem po lekcjach do domu, ale nie budziły ani szczególnego zainteresowania, ani poczucia zagrożenia, gdyż byłem wtedy bez reszty zajęty czytaniem *Trylogii* i żyłem poza rzeczywistością czasu wojny. Maszerując poboczem drogi, trzymałem niecierpliwie nos w małych tomikach powieści, które udało mi się właśnie wygrzebać z domowej biblioteczki. Połykałem w ten sposób zachłannie w drodze i w domu najpierw osiem tomików *Ogniem i mieczem*, potem trzynaście *Potopu* i pięć *Pana Wołodyjowskiego*⁴.

Nie przypominam sobie, by wyraźny przeskok od bajd krasnoludkowych do powieści historycznej sprawił mi kłopoty. Czytałem szybko, do czego pobudzała trzymająca w napięciu akcja powieści. Zarazem jednak, wbrew możliwym podej-

³ W. Zechenter, *Bajdy krasnoludkowe...*, s. 192–193.

⁴ Tomiki w formacie ósemki i 2 w szarych kartonowych okładkach wydał Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Lwów 1936.

rzeniom, ta pośpieszna lektura nie była podporządkowana wyłącznie śledzeniu wątków sensacyjnych ani też powierzchowna. Pozostała z niej uchwycona świeżym, chłonnym spojrzeniem chłopca i zarejestrowana w wyobraźni wizja dawnego czasu, ludzi, obyczajów i wydarzeń z życia publicznego. Stała się ta wizja na długie lata podstawą mojego osądu wartości dzieła Sienkiewicza. Późniejsze, najczęściej fragmentaryczne odczytania powieści tylko ten dziecięcy jej odbiór potwierdzały.

Gdy myślę teraz o tym dość niezwykłym spotkaniu dwu pierwszych lektur, to zaczynam dostrzegać w ich zderzeniu ukryte nici ciągłości doświadczenia estetycznego oraz procesu dorastania.

Przyjemność obcowania z mieszkańcami krasnoludkowego lasu powracała i pomnażała się w spotkaniu i nawiązaniu emocjonalnego kontaktu z wyrazistymi postaciami *Trylogii*: pobożnym, cnotliwym Podbipiętą, rubasznym i krotchwilnym Zagłobą, biegłym w żołnierskim rzemiośle Wołodyjowskim, dzikim i dumnym Bohunem, zawadiackim Kmicicem, sprytnym Rzędzianem, chytrymi Kiemliczami itp. Wraz z tą przyjemnością narastał we mnie, dzięki bogactwu sposobów charakteryzowania tych postaci, elementarny zasób wiedzy psychologicznej. A jednocześnie obserwacja dzielności bohaterów, ich zdolności zwyciężania w najtrudniejszych sytuacjach, umożliwiała intuicyjne odczuwanie baśniowego wymiaru powieści⁵.

Podobną kontynuację dostrzegam w położeniu akcentu na obraz społeczności. Zainteresowanie rytmem prac i dni krasnoludkowej gromady odbiło się w moim czytaniu powieści historycznej Sienkiewicza wyraźnym echem, a wyraziło uważnym rozglądaniem się, z wyostrzoną ciekawością, po rozległym i wielowymiarowym obszarze kultury materialnej, form życia, obyczajów. Pamięć podsuwa mi bez trudu obrazy ukraińskiego dworku w Rozłogach, karczmy w Czehrynie, życia zaścianka w Pacunelach i w dostatniej siedzibie Bilewiczów, uczyty w zamku w Kiejdanach, kresowej forteczki w Chreptowie i wiele innych. Interesowałem się, oczywiście, również militariami, organizacją wojska, batalistyką. Chyba jednak bardziej ciekawiły mnie sposoby mówienia szlachty w codziennych dialogach, w opowiadaniach, w uroczystych oracjach. Nie było przypadkiem, że – jak dobrze pamiętam – pilnie wczytywałem się w przypisy tłumaczące sens łacińskich wyrażzeń i zdań wplatanych w makaroniczne wypowiedzi. Uwaga nie ograniczała się do językowego kształtu i stylu wypowiedzi. Interesowałem się mocno treściami rozmów o sprawach publicznych, a przez nie wchodziłem coraz głębiej w rozumienie pojęć narodu, patriotyzmu, prywaty, warcholstwa, zdrady, a także w ogólną problematykę istnienia i funkcjonowania państwa.

*

Między lekturą pierwszej i drugiej książki zachodziły w moim postrzeganiu świata istotne zmiany. Z harmonijnej, idyllicznej przestrzeni krasnoludkowego

⁵ Por. Z. Szwejkowski, *Baśniowość Trylogii*, [w:] *Trylogia Henryka Sienkiewicza. Studia. Szkice. Polemiki*, wyb. T. Jodelka, Warszawa 1962, s. 520–578.

lasu wkraczałem w obszar rzeczywistości skonfliktowanej i dynamicznej. Odkrywałem zarazem – w sposób zgoła nietypowy – kategorie dawności i historyczności. Formuła „dawno, dawno temu” – nieobecna w bajdzie Zechentera, wiążącej funkcje wyobraźni odbiorcy z rytmem przemian przyrody – pojawiła się dopiero przy lekturze powieści. Za to wdarła się na jej stronie z siłą wielkiego realistycznego obrazu historycznego, malującego wojenne pejzaże ognia i miecza, zagrożenia kraju potopem nieprzyjacielskiego najazdu, zmagania się postaw zdrady i patriotyzmu.

Zawarty w powieści Sienkiewicza obraz narodowych klęsk i wzlotów poruszał moje emocje, ale zamykał je w kręgu intensywnego przeżywania dawności, odcinał od realiów toczącego się wokół mnie życia. Nie umiałem jeszcze wtedy dostrzegać związku spraw dziejących się w przeszłości z czasem, w którym czytałem *Trylogię* w towarzystwie sunących szosą kolumn okupacyjnego wojska. I ta lektura, choć tak odmienna od pierwszej, otulała mnie – podobnie jak tamta – bezpiecznym kokonem dystansu wobec okrutnego czasu.

Bibliografia przedmiotowa

- Szweykowski Z., *Baśniowość Trylogii*, [w:] *Trylogia Henryka Sienkiewicza. Studia. Szkice. Polemiki*, wyb. T. Jodelka, Warszawa 1962.
- Zechenter-Spławińska E., *Cokolwiek Ojciec uczyni...*, „Guliwer. Dwumiesięcznik o Książce dla Dziecka” 1998, nr 2.